

MACIEJ SŁOMCZYŃSKI  
Joe Alex



# Ciemna *jaskinia*



BUKOWY LAS



## ROZDZIAŁ 1

# Drzwi zamknęły się. Zostali sami

Ktoś napisał kiedyś, że nadchodząca tragedia rzuca zwykle cień przed sobą i gdyby ludzkość w ciągu tysiącleci cywilizowanego istnienia nie utraciła owego zmysłu ostrzegającego przed zbliżaniem się niebezpieczeństwa, umielibyśmy przewidywać chwile grozy tak, jak przewidują je szczury uciekające w porcie z okrętu, który ma zatonąć w czasie najbliższego rejsu, albo ptaki odlatujące spod strzech domów mających wkrótce zniknąć w płomieniach pożaru.

Ale utraciliśmy ów zmysł i nikt nam już go nigdy nie odda. Dlatego zapewne nikt w Porębie Morskiej nie przewidywał zdumiewających i niesamowitych wypadków, które niosła ze sobą najbliższa przyszłość. Zresztą chyba tylko jasnowidz mógłby przewidzieć zbliżanie się tragedii. Nic nie zwiastowało jej nadejścia tego cichego, słonecznego dnia.

Było lato. Światło późnego lipcowego popołudnia wydłużyło cienie barokowych kamieniczek na małym, opustoszałym o tej porze rynku miasteczka. Pośrodku rynku stał miniaturowy ratusz, okolony dobrze utrzymanymi klombami kwiatów, które z kolei otaczał czworobok asfaltowej jezdni. Jezdnię tę, jak przystało na lata sześćdziesiąte dwudziestego wieku, poprzecinano białymi pasami farby i klawiszami zebry. Ale najwyraźniej wszystkie te wysiłki, mające na celu upodobnienie miasteczka do wielkich metropolii, nie miały większego celu praktycznego, gdyż – w tej chwili przynajmniej – nie można było dostrzec w okolicy ani jednego poruszającego się pojazdu, a pieszych także nie było widać. Najwyraźniej żadna ważna sprawa nie zmusiła nikogo z mieszkańców do opuszczenia domu w to ciche, upalne popołudnie.

Jedyny znajdujący się w tej chwili na rynku samochód stał przy krawężniku naprzeciw kamieniczki, w której musiał mieścić się jakiś urząd państwowy, gdyż na owalnej emaliowanej tablicy nad jej wejściem błyszczał z daleka biały orzeł. Samochód był niewielki i najwyraźniej nie należał do żadnego z mieszkańców miasteczka, bo na bagażniku piętrzyły się walizy i wory turystyczne, przytroczone nowiuteńkimi rzemieniami. W pobliżu ani wewnątrz wozu nie było nikogo.

W pewnej chwili ciszę ryneczku przerwał odgłos powolnych, człapiących kroków. W wylocie jednej z wychodzących na ratusz uliczek ukazał się stary człowiek ubrany w wytartą cyklistówkę, nieokreślonej barwy

koszulę o podwiniętych rękawach i szerokie płóciennie spodnie, trzymające się na skrzyżowanych szelkach. W ręce niósł niewielkie wiaderko, z którego wystawał koniec sporego pędzla, a pod pachą drugiej ręki przyciskał zwitek papierów.

Człowiek zatrzymał się przed kamieniczką z orłem, zerknął na podłużną tablicę obwieszającą:

### Sąd Powiatowy w Porębie Morskiej

a potem na drugą, niewielką, znajdującą się nie ponad wejściem, lecz z boku, nisko, obok kamiennego barokowego portalu, okalającego żelazne, kute drzwi:

#### Powiatowe Biuro Notarialne Jerzy Goldstein – Notariusz

Postawił kubek na ziemi i raz jeszcze przesunął oczyma po ścianie kamieniczki, poszukując odpowiedniego miejsca. Najwyraźniej znalazł je, gdyż przytaknął sobie ruchem głowy i wyjąwszy spod pachy zwitek papierów, odłączył od niego ostrożnie jedną kartę, a pozostałe położył obok kubka. Później zwilżył kilkoma powolnymi ruchami pędzla ścianę kamieniczki tuż obok tablicy notariusza, uważnie przyłożył papier i przejechał po nim kilkakrotnie dłonią tam i na powrót, wygładzając zagięcia. Potem odsunął się o krok, spojrzał krytycznie i osądziwszy, że karta została zlepiona jak należy, uniósł kubek i ruszył w dalszą

drogę, nadal nie okazując najmniejszego pośpiechu. Widząc samochód, zatrzymał się przed nim na chwilę. Znowu pokiwał głową i mruknął coś niezrozumiałego, obejrawszy się na przylepioną przed chwilą kartę papieru.

Na jasnej, odnowionej niedawno ścianie kamieniczki odcinał się ostro biały prostokąt w grubych czarnych obwódkach:

ŚP.  
STANISŁAW MROCEK

Przewodniczący Sądu Powiatowego w Porębie Morskiej, kapitan rezerwy, wieloletni radny miejski, uczestnik walk wyzwoleniczych Wojska Polskiego, odznaczony licznymi orderami państwowymi, zmarł tragicznie dnia 5 lipca 1967.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się  
w południe dnia 8 lipca na miejscowym  
cmentarzu, o czym zawiadamiają  
pograżeni w głębokim smutku  
Bratanek i Rodzina

Kołyszając swoim wiaderkiem, stary człowiek odszedł powoli i na ryneczku znów zapanowała cisza, ale po chwili okute, stylizowane drzwi wejściowe kamieniczki sądowej otworzyły się z cichym zgrzytem i z mrocznej sieni wynurzyła się na światło dzienne wysmukła,

ładna, jasnowłosa dziewczyna, ubrana w lekki kostium podróżny, którego rękaw otoczony był jedwabną opaską żałobną. Dziewczyna zatrzymała się po przestąpieniu progu i mrużąc oślepienie blaskiem oczy, odwróciła się, jak gdyby w oczekiwaniu kogoś, kto powinien był pojawić się tuż za nią. Żałobne obwieszczenie znalazło się dokładnie na wysokości jej oczu. Zaczęła czytać, ale natychmiast przeniosła spojrzenie na równie młodego jak ona wysokiego mężczyznę, który właśnie wyszedł z sieni. On także miał czarną opaskę na ramieniu jasnoszarej, dobrze skrojonej marynarki.

Młoda kobieta uśmiechnęła się, ale natychmiast spoważniała. Mężczyzna oddał jej uśmiech. Wskazała mu oczyma żałobne obwieszczenie. Stojąc ramię przy ramieniu, odczytali je, bez smutku, rzeczowo, spokojnie.

Dziewczyna pierwsza odwróciła się i poszła w kierunku auta. Ruszył za nią, ale zatrzymał się, słysząc kroki w sieni domu.

– Znalazłem w końcu! – zawołał ktoś, jeszcze niewidzialny.

Okute drzwi otworzyły się na całą szerokość i z kamieniczki wyszedł siwy, niewysoki, dobroduszenie wyglądający, nieco otyły człowiek w lnianej letniej kurtce, której rękawy po łokcie skryte były w czarnych, ściągniętych gumką ochraniaczach, jakich tak chętnie używają ludzie ślęczący całymi dniami przy biurku. Lekko zdyszany podszedł ku stojącym i podał młodemu człowiekowi kilka kluczy podzwaniających na metalowym kółku.

– Ten jest od furtki, a tamte dwa od zatrzasku, góra i dół... a ten mały pewnie od biurka, ale oczywiście nie jestem pewien.

– Bardzo panu dziękuję, panie notariuszu...

Młody człowiek spojrział niepewnie na trzymane w ręce klucze i po krótkim wahaniu wsunął je do bocznej kieszeni marynarki.

Notariusz zerknął na pękaty kieszonkowy zegarek, który wysupłał z przedniej kieszonki spodni.

– Piąta! Weronka czeka na państwa. Pamięta pan oczywiście Weronkę? Wyszła z domu, zanim wstałem. Dałbym sobie rękę uciąć, że od rana siedzi tam i czeka na wasz przyjazd. Bardzo była do niego przywiązana, biedaczka, bardzo... – Urwał na chwilę. – Taki straszny wypadek! Jak grom z jasnego nieba. Kto by się tego spodziewał? Był jeszcze taki zdrow... Nie do wiary!

Umilkł i czekał, przesuwając szybko po ich twarzach spojrzeniem małych, nieco zaczerwienionych oczu.

– Tak, to rzeczywiście straszny wypadek. – Młoda kobieta zrobiła krok w kierunku drzwiczek auta. Ale stary notariusz zdawał się tego nie dostrzegać.

– Taki był jeszcze zdrow! To właśnie najgorsze, że był taki zdrow. Nigdy nie chorował. Wydawało się, że będzie żył jeszcze sto lat. Ale los chciał inaczej... – Rozłożył ręce i opuścił je beznadziejnym, pełnym rezygnacji ruchem, lecz potem uniósł je niespodziewanie szybko i poprawił gumki ochraniaczy. – W każdym razie bardzo się cieszę, że otrzymaliście państwo na czas

moją depeszę. Byłoby to bardzo smutne, gdybyście nie zdążyli znaleźć się jutro na cmentarzu.

– Jechaliśmy prawie bez postojów – powiedziała młoda kobieta. – Nie wiedzieliśmy, o której będzie pogrzeb, a kiedy przyszła pana depesza, męża nie było w domu. Wrócił dopiero na drugi dzień rano.

– Trzeba wierzyć w opatrność! – Krótki palec wskazujący starego notariusza uniósł się i znieruchomiał, wycelowany w bezchmurne niebo nad ryneczkiem. – Jestem przekonany, że biedny stryj pana patrzy teraz na nas stamtąd i jest szczęśliwy, wiedząc, że stawia się pan jutro, żeby odprowadzić go tam, gdzie w końcu wszyscy musimy się spotkać... – Znowu westchnął i melancholijnie pokiwał głową. – Tak bardzo cieszył się na myśl o waszym przyjeździe. Wierzył, że zostaniecie tu państwo na stałe. Nie miał przecież żadnej innej rodziny, a do tej pory dzieliły was setki kilometrów. Warszawa leży tak daleko od morza...

Umilkł.

– Tak... – Młody człowiek wydawał się równie zmęczony jak jego żona. Najwyraźniej chciał już odjechać i podtrzymywał rozmowę tylko dlatego, że nie wiedział, jak można ją przerwać bez urażenia starego mężczyzny. – Chcielibyśmy zamieszkać tutaj, to znaczy chcieliśmy. Stryj bardzo namawiał mnie listownie. Wspomniał zresztą o tym, kiedy był w Warszawie przed rokiem, na naszym ślubie. Właśnie dziś albo jutro mieliśmy tu przyjechać, żeby się na miejscu rozejrzeć w sytuacji. Ale...

On także urwał i rozłożył ręce.

– Nic strasznego przecież! – Mały człowieczek nie zamierzał najwyraźniej kończyć rozmowy. – Wiem o tym prawie wszystko. Przecież przyjaźniłem się z pana stryjem. Czytał mi wasze listy. Dla młodego lekarza i młodej dentystki pracy będzie tu aż za wiele. Przyjmą was w Porębie Morskiej z otwartymi rękami. Przyjęliby was zresztą z otwartymi rękami, nawet gdybyście byli zupełnie obcy. Bardzo brak nam młodych, zdolnych fachowców. Ale przecież, dzięki nieboszczykowi Stanisławowi, nikt was tu jak obcych nie potraktuje, nawet ludzie, z którymi żył nie najlepiej.

– Byli i tacy? – Młody człowiek uniósł brwi.

– Sędzia, jeżeli chce być sprawiedliwy, musi się narażać ludziom, prawda? Sprawy są pomiędzy ludźmi, jeżeli przyzna się słuszość jednemu, odbiera się ją drugiemu, prawda? A pański stryj był człowiekiem starej daty, nieprzekupnym i niechwiejnym... – Urwał. – Co to ja chciałem powiedzieć? A tak! Że przyjmą was tu z otwartymi rękami! Stanisław Mroczek był związany z Porębą od pierwszych dni po wyzwoleniu. Razem odbudowaliśmy tu wszystko. Miasteczko było spalone, leżało w gruzach. On, ja i tylu innych przyjechaliśmy z różnych stron, myśląc, że będziemy tu miesiąc, no, może najwyżej rok przy niesprzyjającym zbiegu okoliczności, i zostaliśmy na długo. A on został na zawsze. Biedny Staś. Nie mogę po prostu uwierzyć, że nigdy już nie wejdzie o ósmej do tego budynku. Tyle lat był tu sędzią, odrzucał wszystkie awanse, nie chciał odejść do sądu wojewódzkiego, chociaż go

ciągnęli prawie siłą... – Znowu zamilkł, ale natychmiast się ożywił. – Pogrzeb jutro, punktualnie o dwunastej! Poznam państwa po uroczystości z paroma ludźmi, przede wszystkim z dyrektorką naszego szpitala, panią doktor Jasińską. Na pewno bardzo się ucieszy. Brak nam tu lekarzy. Młodzi nie chcą żyć w małych miasteczkach. Nikt już prawie nie lubi spokojnej, nierzucającej się w oczy pracy bez rozgłosu.

– A my właśnie marzymy o takiej pracy... – powiedziała młoda kobieta cicho i uśmiechnęła się. Jej mąż, jak gdyby korzystając z tego, że słowa jej przecięły potok wymowy starego notariusza, szybko otworzył drzwiczki wozu.

– Dziękujemy panu bardzo, panie Goldstein. Do widzenia, na razie.

– A drogę pan pamięta?

Mały człowieczek zbliżył się znów do wozu.

– Damy sobie jakoś radę.

– Wjedziecie państwo w tę uliczkę, o tam, w prawo, potem zaraz za barem mlecznym będzie skręt w lewo, zobaczycie nowy blok w budowie, a potem już ogrody i domy nad samym morzem. To będzie właśnie ulica Piastowska. Dom nieboszczyka Stanisława, stryja pańskiego, pod numerem ósmym. Ale pan tam już był przecież, panie doktorze, więc pan trafi, prawda?

– To było osiem lat temu... – Młody człowiek uśmiechnął się mimowolnie. – Nie bardzo mi te strony utkwily w pamięci. Byłem tu tylko trzy czy cztery dni. Ale przecież trafimy na pewno. Dziękuję panu raz jeszcze.

– Czwarty dom po prawej! – zawołał notariusz, kiedy oboje zatrzasnęli drzwiczki auta. – Ja mieszkam pod numerem piątym. Jakbyście państwo czegoś potrzebowali, proszę telefonować o każdej porze. Od ósmej wieczór będę dziś w domu.

– Dziękujemy...

Auto ruszyło. Stary człowiek uniósł rękę i skinął odjeżdżającym. Wóz oddalał się powoli, potem skręcił pod ostrym kątem i młoda kobieta, spoglądająca w lusterko, straciła z oczu postać na krawężniku.

Nowy blok mieszkalny, obok drugiego, jeszcze w rusztowaniach, później droga weszła w rzadki, wysokopienny las sosnowy i nagle przed jadącymi otworzyła się opadająca miękko łagodna równina, na której krańcu leżało, aż po granice widnokregu – morze.

Droga skręciła w prawo, ku wielkiej kępie krzewów i drzew, pośród których błyskały czerwoną dachówką niewielkie domki, położone na płaskim wzgórzu opadającym ku wodzie.

– Ślicznie tu jest... – powiedziała cicho młoda kobieta.

Młody człowiek skinął potakująco głową, jak gdyby odpowiadając własnym myślom.

– Byłem tu już raz. Stryj mieszkał zupełnie sam, tuż nad morzem. – Uniósł dłoń znad kierownicy i wskazał zbliżającą się kępę drzew. – Z ogrodu schodzi się prosto na plażę. Zobaczysz zresztą. Gorąco...

Grzbietem dłoni otarł czoło i ponownie opuścił dłoń na kierownicę.

– Duszno. – Dziewczyna odetchnęła głęboko. – Chyba będzie burza. – Wskazała oczyma odległą czarną chmurę, która stała nad morzem, oświetlona promieniami zniżającego się już wyraźnie słońca. Mężczyzna potwierdził skinieniem głowy i raz jeszcze otarł czoło.

– Boże, co za upał...

Samochód wjechał między ogrodzenia. Domów nie było prawie widać. Pośród gęstej, rozrosłej zieleni późnego lata błyskały tylko gdzieś tam białe ściany.

Zwolnili.

– Dwa... cztery... – Mężczyzna odwrócił głowę. – Jednak nie pamiętam. Zupełnie podobne do siebie są te ogrody. Czyśmy przejechali jeszcze jedną furtkę? Może to tu?

Zatrzymał wóz. Znajdowali się przed siatką odgradzającą od ulicy gęsty rosnący za nią żywopłot. Pośrodku ścieżki, biegnącej od żelaznej, pomalowanej na zielono furtki w głąb ogrodu, stała niemłoda już, wysoka kobieta w płóciennym kombinezonie, wielkim wyblakłym słomkowym kapeluszu i starych skórzanych sandałach na opalonych nagich stopach. W ręce trzymała potężny sekator. Obok stojącej piętrzyły się na ścieżce splecione zielone pędy przyciętego żywopłotu.

Młody człowiek wychylił się z okna wozu.

– Przepraszam bardzo, czy tu będzie dom sądzięgo Mrocza?

Kobieta podeszła bez słowa do furtki i otworzyła ją jednym zamaszystym ruchem na całą szerokość.

– A pan pewnie bratanek? – powiedziała głośno i pochyliła smutnie głowę, ale natychmiast uniosła

wzrok, nie mogąc stłumić zaciekawienia. – Mówiła mi rano Weronka, że państwo przyjedziecie na pogrzeb. Kto by to pomyślał, prawda? Taki porządny człowiek i umarł, a różne łobuzy do setki dożywają! Tak to już jest. Od początku prawie tu sąsiadowaliśmy i nigdy złego słowa ani sprzeczki. Nie ma już takich ludzi. Kiedy mojego starego nie było przez parę lat, on jeden mi pomagał. Ale nieszczęście nie pyta. Mówiłam mu czasem: „Panie sędzio, już nie te latka, żeby co rano kąpać się w morzu!”. Śmiał się tylko. Zdrowy był jak koń, jak to mówią. Zawsze o świcie wypił szklankę mleka i szedł na plażę. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Popływał kwadrans i wracał. A potem, zimą czy latem, w deszcz i śnieg szedł pieszo do sądu, trzy kilometry prawie! I z powrotem też pieszo. Ale nawet maszyna popsuje się w końcu, a co dopiero człowiek. Wyszedł popływać rano i już nie wrócił. Wyłowili go, biedaka, dopiero wieczorem, przed samym zachodem. Serce nie wytrzymało. Mój stary też pomagał go szukać, bo mamy tu łódeczkę swoją i nieraz wypływa na ryby, kiedy morze jest spokojne. Inaczej bym mu nie pozwoliła. Boję się, kiedy jest fala, chociaż powiadają, że ryba wtedy łatwiej bierze. A pan sędzia, żeby żonę miał, toby też pewnie żył do tej pory. Kobieta by nie pozwoliła na to. Starość to starość. Nie ma co udawać młodego, kiedy sił brakuje.

– Tak, proszę pani... – powiedział szybko młody człowiek. – Który to będzie dom? Byłem tu osiem lat temu i już nie pamiętam.

– A ten, tu! – Uzbrojoną w sekator dłonią wskazała gęstą ścianę zieleni w lewo. – Mówiłam przecież panu doktorowi, że sąsiadujemy. Dalej, po drugiej stronie, sąsiaduje z nim pani doktor Jasińska, a potem to już koniec drogi. Nie zajedźcie dalej, bo wydma!

– Dziękuję bardzo!

Szybko ruszyli i po przejechaniu kilkunastu metrów Mroczek gwałtownie zatrzymał wóz.

Przez chwilę siedzieli oboje nieruchomo, patrząc na cel swej podróży.

– Małe miasteczko... – szepnęła młoda kobieta. – Wszyscy już o nas wiedzą.

Bez słowa przytaknął ruchem głowy. Otworzyli drzwiczki prawie równocześnie, wyszli i zatrzasnęli je, jak gdyby kierowani jedną wolą. Potem ruszyli ku furtce.

Za stalową siatką, gęsto obrośniętą dzikim winem, które kaskadami opadało w dół i kładło się na chodnik, widać było niknącą w krzewach ścieżkę, a na jej krańcu ganek, także niemal ukryty pod ciężką koroną dziko rozrosłych pędów winnych. Dopiero teraz usłyszeli wyraźny monotonny szum dobiegający z niespodzianie niewielkiej odległości.

– Słyszysz? – powiedziała dziewczyna. – Morze!

– Tak. Ogród sąsiaduje z plażą. Prosto z łóżka możesz wejść rano do morza. – Uśmiechnął się lekko. Przystanęli. Młoda kobieta nie odpowiedziała uśmiechem.

– To straszne...

– Co? – Jej mąż nacisnął klamkę furtki, potem pochylił się, zajrzał do dziurki zamka i dopasował

jeden z kluczy. Zamek nie zgrzytnął, był najwyraźniej dobrze naoliwiony.

– To straszne – powtórzyła cicho – umierać w ten sposób, na morzu, tak blisko brzegu i własnego bezpiecznego domu. Był wtedy sam. Najgorsze jest to, że tonąc, człowiek tak dobrze wie, że umiera...

Zaczęła powoli iść w stronę domu. Zamknął furtkę i zrównał się z nią.

– Nie zawsze. Jeżeli to był nagły atak, aneuryzm mięśnia sercowego na przykład, mógł stracić przytomność i utonąć, nie mając świadomości, że ginie.

Zatrzymali się znowu.

– Biedny człowiek. – Dziewczyna rozejrzała się.

– Tak, to bardzo smutne. Niestety mało go znałem. W czasie okupacji był w Rosji, a po wojnie siedział tu prawie przez cały czas, nie wychylając nosa z tej Poręby. Zresztą pokłócili się kiedyś z ojcem o coś, sam nie wiem o co. Myślę, że oni później też już nie wiedzieli, ale prawie nie utrzymywali stosunków, nawet korespondencyjnie. Nie mieliśmy z nim żadnego kontaktu. Byłem tu u niego, jak ci już mówiłem, raz w czasie wakacji, przez trzy dni, bo rozbiliśmy niedaleko stąd obóz i wpadłem. Bardzo się ucieszył wtedy. Później, kiedy ojciec umarł, przyjechał na pogrzeb, a potem na nasz ślub. Stryj bardzo wiele wagi przywiązywał do uroczystości rodzinnych, takich jak śluby i pogrzeby. Ale mam wrażenie, że dopiero ostatnio, kiedy zaprosiłem go na nasz ślub, doszedł do wniosku, że warto utrzymywać bliższe stosunki z ostatnim żyjącym członkiem rodziny, to znaczy

ze mną. Pewnie po prostu postarzał się i zaczął odczuwać samotność. Ale ja? Nie zdążyłem go poznać. Był dla mnie prawie zupełnie obcy. Może gdyby nie umarł, wszystko by się jakoś ułożyło?

– A mnie go bardzo żal. Był taki miły i staroświecki na naszym ślubie. Taki staromodny w dobrym tego słowa znaczeniu...

– Nie rozumiesz mnie. Ja też go żałuję. Ale nie aż tak, żebym chciał udawać, że cierpię, kiedy w rzeczywistości był dla mnie niemal obcym człowiekiem.

Ruszyli znowu pociemniałą nagle ścieżką. Daleka chmura zakryła słońce. Domek wynurzył się teraz przed nimi spoza krzewów.

Młoda kobieta wzięła męża za rękę i zmusiła do zatrzymania się.

– Pomyśl, ile lat musielibyśmy pracować, żeby mieć coś takiego!

– Wiem. Porządny był z niego facet, że mi to zapisał. Nie myśl, że nie pamiętam o tym. To w ogóle, jak mi się wydaje, był absolutnie porządny człowiek. Podoba ci się ten domek?

– Z daleka wygląda ślicznie.

Zwrócił ku niej głowę i uśmiechnął się.

– Ale czy ty naprawdę wytrzymasz długo w takim małym miasteczku na końcu świata?

– Całe życie marzyłam, żeby mieć mały domek z ogródkiem w małym miasteczku.

– Jeżeli mam być szczery, to ja też.

Objął ją ramieniem. Dochodzili już do ganku.

– Co to? – Znowu się zatrzymała.

Głęboki, odległy głos gromu przetoczył się ponad niewidzialnym morzem.

– Burza idzie... Czeka! Zdejmę worki i walizki z dachu wozu, bo może zacząć lać za parę minut!

Biegiem zawrócił do furtki. Została sama pośrodku ścieżki. Rąbek ciemnej chmury, która przesłoniła słońce, wynurzył się ponad drzewami i wolno płynął w kierunku domku. Zrobiło się jeszcze mroczniej. Wiatr przeleciał ponad ogrodem i ucichł. Szum morza stał się wyraźniejszy. Dziewczyna zrobiła kilka kroków w kierunku domu. Obejrzała się. Jej mąż nadchodził już, dźwigając w rękach dwie walizki.

– Worki wrzuciłem do wozu! – powiedział lekko zdyszany głosem, zrównując się z nią. – Później rozpakujemy. Chwała Bogu, że idzie burza po tym koszmarnym upale.

Wszedł na ganek i postawił walizki przed drzwiami. Sięgnął do kieszeni po klucze. Ale drzwi wejściowe otworzyły się w tej samej chwili.

Na progu stała niska chuda kobieta w białej chustce na głowie. Mogła mieć, jak osądziła dziewczyna, równie dobrze czterdzieści jak sześćdziesiąt lat. Była żadna – ani wysoka, ani niska, ani ładna, ani brzydka, o twarzy niemal bez wyrazu. Jedną z tych osób, których rysów nie sposób przypomnieć sobie już w parę chwil po rozstaniu.

– Dzień dobry, pani Weronko! – Wyciągnął ku niej rękę na powitanie. – Pamięta mnie pani jeszcze?

– A pewnie, że pamiętam... – Głos jej także był martwy, suchy, pozbawiony brzmienia, ani cichy, ani głośny, spokojny. – Nie zmienił się pan doktor wcale.

– A to moja żona. Halinko, poznaj panią Weronkę, gosposię stryja.

Ręką, którą uściśnęła młoda kobieta, była chłodna. Halina próbowała się uśmiechnąć, ale Weronka poważnie skinęła jej głową i wzięwszy jedną z walizek, usunęła się, robiąc przejście. Weszli.

Przedpokój był ciemny i niewielki. Halina rozejrzała się. Jakieś stare rogi jelenie, półka z książkami, których tytułów nie mogła odczytać w półmroku, wypatane krzeselko...

– Tak... – Młody mężczyzna spojrzał na Weronkę i chrząknął. Mimowolnie powtórzył usłyszane niedawno słowa: – Kto by się spodziewał? Taki był jeszcze zdrów...

– Pan Bóg tak chciał... – Głos jej był nadal suchy i pozbawiony barwy, ale odwróciła na chwilę głowę i uniosła fartuch ku oczom. Opanowała się natychmiast. – Państwo pewnie głodni po takiej podróży? Wszystko przygotowałam, tylko mięso odgrzeję, bo myślałam, że będzie na obiad. Pan Goldstein tak kazał. Powiedział, że państwo pewnie przyjedziecie w południe.

Z dała dobiegł odgłos nowego grzmotu.

– Dziękujemy bardzo... Pani tu mieszka, prawda?

– Nie. U pana Goldsteina, naprzeciw. Obu im prowadziłam gospodarstwo. A obiady jedli w sądzie, w stołówce. Tylko w niedzielę gotowałam obiad, raz

u jednego, raz u drugiego, na zmianę, a potem grali sobie w szachy i słuchali radia. A teraz to już nie wiem, jak będzie... – Nadal w głosie jej nie było żadnej intonacji. – Państwo pewnie jakoś sami postanowią. Kuchnia jest tu. – Zrobiła krok w kierunku bocznych drzwi i uchyliła je. – Mam zaraz podać, bo już nakryte?

Jeszcze jeden grzmot, tym razem bliższy. Wiatr nadleciał znad morza, zaszeleścił ostro w koronach drzew i znowu ucichł.

– Może najpierw umyjemy się i rozpakujemy trochę. Burza idzie. Niech pani lepiej nie czeka, bo pewnie lunie zaraz. – Uśmiechnął się do niej. – Damy sobie radę. A jutro rano, jeżeli pani taka grzeczna, prosimy bardzo. Nie wiemy jeszcze, czy zostaniemy tu długo, ale jeżeli się zdecydujemy, to bardzo będziemy zadowoleni, jeżeli pani zajmie się gospodarstwem jak za czasów stryja. Prawda, Halinko?

– Oczywiście! – powiedziała jego żona z nieco wymuszonym entuzjazmem. – Jeżeli tylko pani Weronka zechce.

– Dziękuję państwu... – Skłoniła głowę i wyprostowała się natychmiast. – Posprzątane jest, ale porządków nie robiłam, bo pan Goldstein zakazał ruszać na biurku i w sypialni do przyjazdu państwa. Powiedział, żebym niczego nie ruszała, to nie ruszałam...

Wzruszyła niemal niedostrzegalnie ramionami, jak gdyby chcąc wyrazić dezaprobatę wobec polecenia, które sankcjonowało nieporządek w domu.

– Rozumiem. Dziękuję bardzo, pani Weronko.

– To ja już pójdę. A rano o której mam przyjść? Mleczarka dzwoni o szóstej. Pan sędzia sam jej zawsze otwierał i odbierał mleko, bo wcześniej wstawał. A ja przychodziłam z pieczywem o siódmej, kiedy już podałam śniadanie panu Goldsteinowi. Potem sprzątałam i robiłam przepierkę i co tam trzeba było, jak już poszedł do sądu. Ale państwo pewnie o siódmej nie wstaną?

– Na pewno nie... – powiedziała szybko Hali-  
na. – Jesteśmy bardzo zmęczeni. O dwunastej będzie pogrzeb, to może pani łaskawie przyjdzie o pół do dziewiątej...

– Dobrze, proszę pani. A pieczywo położę na gan-  
ku w torebce. Tu nikt nie ruszy – dodała. – Można by  
nawet pieniądze położyć i rok by leżały.

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl

# KLASYKA KRYMINAŁU

## Czy utonięcie było nieszczęśliwym wypadkiem?

Podczas kąpieli w morzu, w Porębie Morskiej, tonie sędzia Stanisław Mroczek. Mężczyzna żył samotnie i cieszył się powszechną sympatią. Jego bratanek, młody lekarz, przybywa z Warszawy wraz z żoną na pogrzeb.

Małżonkowie zatrzymują się w domu zmarłego, gdzie przypadkowo odkrywają skrytkę w ścianie, a w niej... czaszkę. Do czego doprowadzi ich własne śledztwo?

**MACIEJ SŁOMCZYŃSKI (JOE ALEX).** Pisarz i tłumacz. Jako jedyny przetłumaczył wszystkie utwory Williama Shakespeare'a. Autor przekładów dzieł klasycznych, m.in. *Ulissesa* Jamesa Joyce'a. Twórca powieści sensacyjnych i kryminalnych, które doczekały się znakomitych ekranizacji z udziałem gwiazd polskiego kina.



bukowylas.pl

Cena: 39,90 zł